

Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/tematy/solidarnosc/76910,Stan-wojenny-Od-kulminacji-do-normalizacji.html>



ARTYKUŁ

Stan wojenny. Od kulminacji do „normalizacji”

OKRES HISTORYCZNY

(1980-1990) Epoka Solidarności

Autor: WŁODZIMIERZ SULEJA 14.12.2020

Po zduszeniu strajków wywołanych wprowadzeniem stanu wojennego, najpoważniejszym przejawem oporu wobec poczynań władzy stały się krótkie, niekiedy wręcz symboliczne, przerwy w pracy.

Dochodziło do nich zwykle 13 każdego miesiąca – cisza, ogarniająca hale produkcyjne przypominała, że zwolennicy „Solidarności” nie zamierzają kapitulować. Geografia owych protestów zmieniała się, podobnie jak ich natężenie. We Wrocławiu i na Dolnym Śląsku, w Nowej Hucie, Gdańsku, podlubelskim Świdniku, Szczecinie czy Toruniu powtarzały się one cyklicznie.

Przeciw stabilizowaniu się władzy stanu wojennego - czas manifestacji ulicznych

Od maja nowym elementem stały się manifestacje uliczne. Były one odpowiedzią na obchody pierwszomajowe, które władze stanu wojennego zamierzały wykorzystać jako dowód, że w pełni kontrolują sytuację w kraju. Po stronie związkowej opinie w tej sprawie były początkowo rozbieżne. Przeważało zdanie, aby święto „ciemnizycieli polskiego robotnika” po prostu zbojkotować, nie biorąc udziału w oficjalnych pochodach. Jednak w niektórych regionach, zwłaszcza w większych miastach, zorganizowane zostały kontrmanifestacje. Siły milicyjne nie interweniowały.

W manifestacjach, do których dochodziło przede wszystkim na terenie dużych aglomeracji, brali udział tylko najbardziej zdeterminowani zwolennicy „Solidarności”. Wielu uczestników wydarzeń znalazło się tam przypadkowo lub było tylko widzami.

Dwa dni później, 3 maja, specjalne oddziały ZOMO nie były już tak powściągliwe. W to święto, traktowane jako narodowe i kościelne zarazem, manifestacje – na poły spontaniczne, na poły przygotowane – zgromadziły spore tłumy. Podczas prób rozpędzania pochodów, a także w trakcie ataków oddziałów ZOMO na uczestników okolicznościowych nabożeństw, doszło do starć. Najpoważniejsze z nich miały miejsce w stolicy. Z kolei 13 maja do najdramatyczniejszych incydentów doszło w Krakowie i Nowej Hucie. W powszechnym odczuciu sytuacja zdawała się zaostrzać – optymiści sądzą nawet, że władza traci kontrolę nad jej rozwojem.

W manifestacjach, do których dochodziło – podkreślmy to raz jeszcze – przede wszystkim na terenie dużych aglomeracji, brali udział tylko najbardziej zdeterminowani zwolennicy „Solidarności”. Wielu uczestników wydarzeń znalazło się tam przypadkowo lub było tylko widzami. Do tymczasowych aresztów i przed kolegia orzekające trafiali jednakowoż reprezentanci wszystkich wymienionych tu kategorii, a wyroki (początkowo relatywnie wysokie grzywny) dotyczyły każdego, kto zetknął się z „ludowym” wymiarem sprawiedliwości. Za

udział, nawet bierny, w demonstracji można było również stracić pracę, toteż narastał społeczny ferment, połączony z coraz bardziej widocznymi oznakami zniecierpliwienia.



**Starcie demonstrantów z siłami
MO na ul. Legnickiej we
Wrocławiu, 31 sierpnia 1982 r.
Fot. IPN**

Nowe poczucie siły oporu - narastanie postaw bezkompromisowych

W obrębie konspiracyjnych struktur związkowych - zwłaszcza tam, gdzie ruch był najsilniejszy, a represje ze strony służby bezpieczeństwa najdotkliwsze - wzrastało napięcie. Radykalne skrzydło Związku kwestionowało tezę o możliwości powrotu do idei porozumienia z władzą, odrzucając tym samym, wciąż obecną, ideę „samoograniczania się”, by móc urzeczywistnić kompromis w razie zmiany polityki przez rządzących. W podziemnej „Solidarności” dojrzywał rozłam.

Radykalne skrzydło Związku kwestionowało tezę o możliwości powrotu do idei porozumienia z władzą, odrzucając tym samym, wciąż obecną, ideę „samoograniczania się”, by móc urzeczywistnić kompromis w razie zmiany polityki przez rządzących.

Zwolennicy nowej taktyki dali znać o sobie 13 czerwca. W tym dniu na ulice dużych miast po raz kolejny wyszli demonstranci. Tym razem nie zamierzali rozpraszać się w momencie ZOMO-wskiego ataku. Do

zaciętych walk doszło w Gdańsku i Nowej Hucie. Tam pododdziały ZOMO opanowały sytuację. Natomiast do późnych godzin nocnych nie udało się im się tego dokonać we Wrocławiu. W okolicach ulicy Grabiszyńskiej (zwanej, nie bez swobodnego poczucia humoru – ZOMO-strasse) stanęła prowizoryczna barykada, a jej obrońcy skutecznie powstrzymywali, przy pomocy bruku, zapędy formacji porządkowych. W ten sposób po raz pierwszy dała znać o sobie „Solidarność Walcząca”.

Twórcą i przywódcą ideowym tej początkowo frakcji, a potem odrębnej organizacji, był ukrywający się pracownik wrocławskiej Politechniki, Kornel Morawiecki. Przed sierpniem redaktor, jak i wydawca pisma całej wrocławskiej opozycji, „Biuletynu Dolnośląskiego”, potem członek regionalnych władz Związku, uczestnik pierwszego po utworzeniu „Solidarności” politycznego procesu na Dolnym Śląsku, był i wówczas, i po 13 grudnia zwolennikiem radykalnych posunięć w stosunku do władzy komunistycznej. Walkę z systemem należało, w jego przekonaniu, prowadzić nieprzerwanie aż do zwycięskiego końca, zaś zaostrzenie przebiegu lokalnych starć prowadziło do powstawania coraz większej przepaści pomiędzy rządzącymi i rządzonymi oraz skutecznie eliminowało myśl o jakimkolwiek kompromisie. Zwłaszcza że w przekonaniu Morawieckiego korzyść z tego ostatniego odnieść mogła tylko jedna strona – władza.

Koncyliacyjny ruch władz podziemia - wymijająca odpowiedź komunistów

Pojawienie się „Solidarności Walczącej”, prowadzącej niezwykle dynamiczną i w gruncie rzeczy po dziś dzień niedocenioną akcję wydawniczą, nie oznaczało jednak zmiany długofalowej strategii Związku. Przywódcy TKK wierzyli, że reprezentują realną siłę, z którą władze będą musiały się liczyć. W okresie poprzedzającym tradycyjne PRL-owskie święto, 22 lipca, uznali oni, iż „dotychczasowe strajki i manifestacje uliczne spełniły swoją rolę”. Ich zawieszenie do końca lipca traktowali zatem, w skierowanym do członków Związku apelu, jako dowód „naszej siły, jedności, zdyscyplinowania, sprawności i odporności na prowokacje”. Był to również sygnał świadczący o gotowości do porozumienia. Sygnalizowano także, iż zwolnienie internowanych oraz amnestionowanie skazanych stworzyłyby możliwość zawieszenia strajków i demonstracji na dłuższy okres, natomiast odrzucenie inicjatywy było dla TKK równoznaczne z koniecznością „ponownego sięgnięcia po różnorodne środki nacisku ze strajkiem generalnym włącznie”.

Władze nie miały zamiaru porozumiewać się z „Solidarnością” podziemną na jej warunkach. Ograniczyły się do gestów: takich jak zwolnienie z miejsc internowania bez mała tysiąca osób, w tym wszystkich kobiet, czy też urlopowanie sporej grupy pracowników przebywających w miejscach odosobnienia. Natomiast nadzwyczaj czytelną deklaracją intencji rządzących stał się komunikat o zamierzeniu powołania do życia Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego (PRON), która to organizacja przejęłaby rolę FJN. W instytucji tej dla „Solidarności” nie było, bo i nie mogło być, miejsca. Chyba że na warunkach, podyktowanych przez władzę, czyli po bezwarunkowej kapitulacji.

Sierpniowa fala masowych manifestacji - niewykorzystana eksplozja buntu

Starcie, i to w trudnym do przewidzenia zakresie, wydawało się zatem nieuniknione. W sierpniu napięcie coraz wyraźniej rosło. Już 13 sierpnia 1982 roku doszło do kolejnych manifestacji i starć ulicznych z oddziałami ZOMO. Miały one miejsce we Wrocławiu, Warszawie, Nowej Hucie i Gdańsku. Był to jednak zaledwie prolog wydarzeń, do których doszło w drugą rocznicę podpisania gdańskiego Porozumienia, 31 sierpnia.

Władze zamierzały złamać manifestacje brutalną siłą... Formacje ZOMO nie wytrzymały jednak naporu. Uciekały. Płonęły opancerzone milicyjne samochody. Wznoszono barykady. Sięgano po bruk i kamienie.

Tym razem wystąpienia uliczne zostały starannie przygotowane. W myśl założeń, przyjętych przez kierownicze gremium podziemnego Związku, udane manifestacje rocznicowe przerodzić się miały w powszechny, ogólnopolski strajk generalny, zdolny do reaktywowania „Solidarności” i ponownego respektowania Porozumień sprzed dwóch lat. Po zakończeniu pracy przez pierwszą zmianę w niemal wszystkich dużych miastach Polski znów zatrzymały się tramwaje i autobusy komunikacji miejskiej, mimo że kierowców i motorniczych pilnowali żołnierze i umundurowani funkcjonariusze MO. Na ulicach zaczęły formować się wielotysięczne pochody, zmierzające z reguły w kierunku siedzib lokalnych władz Związku. Co więcej, tym razem do manifestacji doszło i w średnich, i małych miastach czy miasteczkach. Nie tylko Wrocław, Kraków, Gdańsk czy Warszawa, ale i Kartuzy, Świdnica, Garwolin oraz Bochnia demonstrowały w obronie ideałów sierpniowych. Niezwykle trudno ocenić jest wielkość owych manifestacji, nie ulega jednak wątpliwości, że wzięły w nich udział setki tysięcy osób.

Władze zamierzały złamać manifestacje brutalną siłą. Nie czyniono tego w każdym przypadku (siły ZOMO skoncentrowane zostały z reguły w dużych miastach), w zależności od wielkości pochodów stosowano odmienną taktykę. Formacje ZOMO nie wytrzymały jednak naporu. Uciekały. Płonęły opancerzone milicyjne samochody. Wznoszono barykady. Sięgano po bruk i kamienie. We Wrocławiu i Gdańsku milicjanci użyli też broni. Byli zabici. Do szpitali odwożono rannych.

Najtragiczniejszy przebieg miały jednak wydarzenia w dolnośląskim Lubinie. To właśnie miasto, centrum zagłębia miedziowego, postanowiono spacyfikować. Na spokojną, pokojową i rozchodzącą się już demonstrację spadła milicyjna szarża. Do rozbiegających się w panice ludzi ZOMO-wcy strzelali z samochodów

- na demonstrantów wręcz polowano. Zginęły 4 osoby, wiele zostało rannych (głównie od rykoszetów), i choć w samym mieście walki przeciągnęły się aż do 2 września, władze były zadowolone z owej zbrodniczej demonstracji siły.

Wydarzenia z 31 sierpnia były kulminacyjnym momentem społecznego protestu przeciwko autorom stanu wojennego. Nigdy już, w późniejszym okresie, nie udało się zorganizować akcji na podobną skalę.

Manifestacje, choć według oficjalnych informacji objęły aż 66 ośrodków (miano zatrzymać ponad 5 tysięcy osób, a część z nich internować), nie przekształciły się w strajk generalny. „Solidarność” mogła mówić o zwycięstwie moralnym. Praktyczne korzyści starała się wyciągać władza.



Starcie demonstrantów z siłami MO na ul. Legnickiej we Wrocławiu, 31 sierpnia 1982 r.
Fot. IPN

Wymuszenie „normalizacji” - koniec nadziei na zwycięstwo przez strajki

Kolejnym krokiem Jaruzelskiego i jego ekipy, mającym „normalizować” sytuację, stać się miało formalnoprawne unicestwienie Związku. Władze starannie przygotowywały się do tego kroku. Zapowiedziano zaostrenie represji wobec politycznych przeciwników reżimu (w początku października zapadły wyroki skazujące na przywódców KPN). Do ofensywy przeszła SB, a najbardziej spektakularnym sukcesem stało się aresztowanie 5 października przywódcy dolnośląskiej „Solidarności”, Frasyniuka. Starano się, również poprzez kampanię propagandową, osłabić wolę oporu. Istotnie, po uchwaleniu przez sejm nowej ustawy o związkach zawodowych (8 października), będącej w praktyce delegalizacją Związku, w Stoczni Gdańskiej nie został podjęty protest strajkowy. I choć manifestowano jeszcze 13 października w Nowej Hucie (funkcjonariusz SB zabił tam strzałem z pistoletu 20-letniego robotnika, Bogdana Włosika), to perspektywy ogłoszonego przez TKK na 10 listopada strajku generalnego nie rysowały się zbyt optymistycznie.

Istotnie, listopadowy strajk zakończył się dotkliwą porażką Związku. W wielu zakładach zdecydowano się na protest, ale nie ośmiogodzinny, jak się tego domagała TKK. Na przedstrajkową atmosferę wywarło też wpływ wystąpienie prymasa Glempa, dystansującego się w imieniu Kościoła od „walki grup społecznych”. Ogłoszono również, że w czerwcu 1983 r. do Polski zawita papież. Władza mogła więc uznać, że osiągnęła tak pożądaną

od momentu wprowadzenia stanu wojennego – „normalizację”.

Tekst stanowi fragment książki „Dawniej to było. Przewodnik po historii Polski” (2019)

COFNIJ SIĘ